

Błażej Feret  
Biblioteka Główna Politechniki Łódzkiej

## Lawrence Lessig - „Wolna kultura”

<http://www.futrega.org/wk/>

Czy zdarzyło się Państwu kiedyś ściągać muzykę lub filmy z Internetu? A jeśli tak, to czy czuliście się przy tym nieswojo, z uczuciem, że popełniacie przestępstwo? A nawet jeśli nie przestępstwo, to czy przynajmniej nie mieliście wrażenia, że postępujecie w sposób społecznie naganny, ponieważ odbieracie twórcom ciężko zapracowane pieniądze?

Albo inna sytuacja: czy ktoś z Państwa, zarządzających bibliotekami, zastanawiał się, czy zezwolić na instalowanie i użytkowanie na bibliotecznych komputerach „internetowych” oprogramowania do wymiany plików w sieci? Przecież takie zezwolenie mogłoby się skończyć wymianą chronionych licencjami i prawami autorskimi plików, przez co narazić na nieprzyjemności nie tylko użytkownika (jeśli byłby do zidentyfikowania), ale także bibliotekę.

Proszę się nie niepokoić. Sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana niż próbują to zaprezentować potępiające takie postępowanie media, niektórzy prawnicy, a przede wszystkim wydawcy, producenci i pośrednicy w obrocie dobrami objętymi prawami autorskimi. Najprostszym zobrazowaniem, jak bardzo niejednoznaczny może być ostateczny efekt pozornego „piractwa”, jest przykład mojej siedemnastoletniej córki, która ściągnęła programem peer-to-peer jedną, a potem drugą płytę jej ulubionego zespołu, tak się do końca w ich muzyce zakochała, że jej aktualnym celem jest zgromadzenie wszystkich ORYGINALNYCH płyt, nawet jeśli by miała na to wydać większość swoich (i moich) oszczędności... Tak więc mamy tu przypadek odwrotnie zamiast pozbawienia twórców ich dochodu (a przede wszystkim pośredników) - czysty zysk. Nie byłoby to możliwe, gdyby wymiana plików w sieci nie istniała.

Właśnie o takich problemach opowiada książka Lawrence’a Lessiga *Wolna kultura*. Autor wyjaśnia historyczne i dzisiejsze znaczenie oraz interpretację takich pojęć, jak „własność”, „piractwo”, „copyright” czy „dozwolony użytek”. Przedstawia fascynujące historie o ewolucji przemysłu mediów, przy czym – jak się okazuje – w wielu przypadkach postęp w danej dziedzinie nastąpił dlatego, że na pewnym etapie rozwoju ktoś uczynił coś, co dziś zakwalifikowalibyśmy jako przestępstwo przeciwko prawom autorskim... Tak więc historia wielu wynalazków jest często historią wykorzystywania cudzych, „nieokończonych” pomysłów, a także historią omijania lub wręcz łamania obowiązujących praw autorskich. Jak pisze Lessig: Jeśli „piractwo” oznacza używanie czyjejś własności twórczej bez pozwolenia – jeśli teoria „tam gdzie wartość, tam prawo” jest prawdziwa – to historia przemysłu medialnego jest historią piractwa. Każdy istotny sektor dzisiejszych „wielkich mediów” – filmowy, nagraniowy, radiowy, telewizyjny kablowej – narodził się w pewnym sensie z piractwa, jeśli zdefiniujemy je tak jak wyżej. Dotychczas piratom minionego pokolenia udawało się dołączyć do dzisiejszej śmietanki towarzyskiej.

Proszę nie zrozumieć mnie źle. Nie namawiam Państwa do łamania praw autorskich i popełniania przestępstwa choćby w dobrej wierze posunięcia naprzód, np. światowego bibliotekarstwa. Nie czyni tego także Lawrence Lessig. Chodzi raczej o zastanowienie się, kto i dlaczego w danym momencie historii tak skonstruował prawo autorskie, że postępowanie, które kiedyś było (lub dziś w innym miejscu świata nadal jest) akceptowalne czy nawet chwalone, stało się w USA czy Polsce przestępstwem. Czy nie jest tak, że prawo autorskie, które powstało jako narzędzie ochrony interesów twórców, a jednocześnie stymulujące twórczość, służy dziś raczej ochronie interesów wydawców i pośredników? Czy to nie autor powinien decydować, jak jego dzieło może być używane? Czy własność intelektualna ma być ściśle i restrykcyjnie chroniona tak, by nie można było tworzyć nowych dzieł, wykorzystując istniejący dorobek kultury? Jak skomplikowana jest materia niech świadczy następujący fragment: *W języku potocznym określenie prawa autorskiego jako prawa „własności” może być nieco mylące. Prawo autorskie jest bowiem dziwną formą własności. Sam pomysł, że dowolna idea albo jej wyrażenie mogą być posiadane na własność, jest bardzo dziwny. Wynosząc z twojego ogródka stół ogrodowy, doskonale zdajesz sobie sprawę, co zabieram. Wynoszę przedmiot, stół, na skutek czego ty przestajesz go mieć. Trudniej zrozumieć, co zostaje zabrane, jeżeli podchwyć twój dobry pomysł, aby wstawić do ogródka stół, a potem udać się do sklepu, kupić stół i postawić go we własnym ogródku. Co zabieram ci w tym przypadku?*

Ale chodzi też o to, czy wybór pomiędzy „All rights reserved” (gdzie z dzieła można korzystać jedynie w ramach zdefiniowanych prawnie „licencji ustawowych”), a anarchią, gdzie każdy może zrobić wszystko z twórczością innych, jest jedynym możliwym wyborem. Autor – twórca i orędownik wprowadzenia nowych modeli licencjonowania prawa autorskiego – dowodzi, że nie jest. Wyjaśnia, na czym polega coraz popularniejsza licencja „some rights reserved” (niektóre prawa zastrzeżone) będąca efektem inicjatywy Creative Commons. Nawołuje do utworzenia szerokiego ruchu na rzecz tworzenia takiego prawa autorskiego, które dawałoby twórcom możliwość wyboru, w jakim zakresie użytkownicy będą mogli ich utwór wykorzystywać i z niego czerpać. W takim właśnie pośrednim modelu widzi Lessig osiągnięcie pokoju w toczącej się wojnie pomiędzy oczekującymi wolnej (czytaj: bezpłatnej) kultury użytkownikami Internetu a stojącymi na straży interesów twórców (czy aby tylko?) stowarzyszeń zarządzającymi prawami. Będąc w zgodzie z zasadami Creative Commons, *Wolna kultura* ukazała się zarówno w wersji drukowanej (płatnej), jak i elektronicznej (bezpłatnej) – dostępnej na stronie wydawcy (WSIP)<sup>[1]</sup>.

Książkę czyta się jak kryminał. Nic dziwnego. Co chwila odwołuje się ona do historycznych procesów sądowych, choć opisywanych przez prawnika, to jakże wciągających. Myślę, że lektura *Wolnej kultury* da każdemu z nas wiele do myślenia. Nie jest to bowiem książka jedynie o Internecie i prawie autorskim, ale o kulturze i kierunku, w jakim ona zmierza w świecie wszechobecnej informacji elektronicznej.

Życzę przyjemnej lektury!

Recenzję przygotował Błażej Feret, Łódź, marzec 2006

### [1] Przypis redaktora naczelnego Biuletynu EBIB:

Ukazanie się tej książki w Internecie nie spowodowało, że nikt nie kupił jej tradycyjnej wersji. Znam wiele osób, które ją w Polsce nabyły: ja także to zrobiłam, ponieważ chcę ją mieć na półce i chcę do niej zaglądać, gdy będę miała potrzebę sprawdzenia argumentów w niej użytych. Ten, kogo będzie stać na kupienie książki, i ten, który będzie ją lubił czytać w zaciśniętym pokoju, kupi ją. A temu, który na nią nie ma pieniędzy, warto ją dać za darmo, bo idee, które niesie, są niezwykle ważne, warte otwartego dyskursu i pogłębienia wiedzy na temat historii copyright i powolnego zawłaszczania wiedzy. Moze z tego dyskursu powstanie nowe prawo, które będzie nam wszystkim służyło lepiej niż do tej pory. *Bożena Bednarek-Michalska*

